

Najważniejsza rozmówczyni. Z Anną Krasnowolską i Katarzyną Szczepańską- -Kowalczuk rozmawia Anna Spiechowicz¹

Anna Spiechowicz (A.S.): Czytając *Dziennik* Jana Józefa Szczepańskiego, poza pierwszym tomem, uderza pewna lakoniczność notatek o pani Danucie Szczepańskiej. Charles Taylor twierdzi, że podmiotem jest się wyłącznie w odniesieniu do innych podmiotów, w tak zwanej sieci rozmów. Można więc powiedzieć, że Pań mama jest dla ojca najważniejszą rozmówczynią. Znamienne są cytaty z *Dziennika*, takie jak: „Danusia podejrzewa mnie czasem o pychę (...)” [D III, 281]²; „Danusia nieraz wyrzuca mi, że lekceważę ludzi” [D VI, 173]. Nieco więcej światła na jej postać rzuca książka pani Katarzyny Szczepańskiej-Kowalczuk pt. *Szuflada*, jak również rękopisy *Dziennika* znajdujące się w Archiwum Biblioteki Narodowej w Warszawie, między kartkami których umieszczone zostały przepiękne fotografie Danuty Szczepańskiej, listy od niej. Wciąż jednak pozostaje pewien niedosyt i potrzeba oddania jej głosu. W naszej rozmowie chciałabym wyjść od kwestii podstawowych, związanych z codziennym życiem, a więc na wstępie zapytam, jak mama prowadziła dom? Z relacji pani Anny dostępnej na stronie o Jerzym Turowiczu³ udało mi się wyczytać, że obiad był o trzynastej?

Anna Krasnowolska (A.K.): O czternastej.

Katarzyna Szczepańska-Kowalczuk (K.S.K.): Wpół do drugiej. Trzydaniowy i z deserem, nawet w Kasince, gdzie to nie było takie łatwe. Smakiem dzieciństwa była dla mnie cielęca pieczeń, tak zwana „nerkówka” upieczona z nerkami w garnku, zwanym przez mamę „krzywą perłą”.

¹ Dziękuję pani Annie Matei za wszystkie wskazówki pomocne przy przeprowadzeniu niniejszej rozmowy.

² Wszystkie cytaty z *Dziennika* Jana Józefa Szczepańskiego lokalizuję bezpośrednio w tekście, posługując się skrótem D oraz numerem tomu (cyfra rzymska) i stronicy (cyfry arabskie). Korzystałam z wydań: J.J. Szczepański, *Dziennik*, t. 1: 1945–1956, Kraków 2009, t. 3: 1964–1972, Kraków 2013, t. 4: 1973–1980, Kraków 2015, t. 5: 1981–1989, Kraków 2017, t. 6: 1990–2001, Kraków 2019.

³ A. Krasnowolska, *Wspomnienie o Jerzym Turowiczu*, <http://www.jerzyturowicz.pl/anna-krasnowolska/>, dostęp: 20.04.2022.

A.S.: A jak wyglądały rodzinne posiłki, kiedy brakowało produktów?

K.S.K.: To wymagało dużej inwencji. Pamiętam taki dzień w czasie stanu wojennego, gdy wpadł do nas Chimek [Joachim – przyp. A.S.] Brzozowski⁴, syn Tadeusza Brzozowskiego, jakoś tak w porze obiadu. Zwykle jeżeli ktoś pojawiał się w tym czasie, to był zapraszany do stołu. Na ten obiad były marchewki, które zostały zapieczone z serem. Mimo stanu wojennego ta potrawa miała pewien wdzięk i styl. Pamiętam to dlatego, że Chimek wtedy powiedział: „No proszę, stan wojenny, a tu takie danie!”. Rzeczywiście, można mówić o wrażeniu pewnej elegancji, a bardziej może fantazji i inwencji posiłku, który wjechał, ładnie wyglądał i był pyszny. Można też stwierdzić, że nasz dom był takim domem otwartym, bardzo przyjaznym dla gości.

A.K.: Ale to wszystko, o czym mówisz, było już w czasach późniejszych.

K.S.K.: Rzeczywiście, dzieli nas różnica prawie dziewięciu lat, więc nasze relacje będą na pewno różne.

A.K.: Mama zawsze mówiła, że kiedy wyszła za męża, nie umiała gotować. Pierwsze danie, jakie zrobiła tacie, to była wątróbka, której nie lubił. Ale rzeczywiście w latach 50. była duża nędza. Wtedy mieszkała z nami babcia, którą cechował jeszcze przedwojenny sznyt i uważała na przykład, że w niedzielę musi być deser, jakieś ciasto. Robiła więc to ciasto na patelni, bo nie było piekarnika. A mama się powoli wyrabiała kulinarnie, za mojego wczesnego dzieciństwa jedzenie miało jeszcze strasznie zgrzebny charakter, zresztą trudno było coś kupić w sklepach. W tamtych czasach regularnie przychodziły różne panie z zaopatrzeniem – pani mleczarka z bańką w tobołku na plecach przynosiła mleko, a panie z mięsem funkcjonowały jeszcze przez długie lata. Wśród nich była na przykład pani Marysia, taka można powiedzieć hazardzistka, która jeździła z Kasinki autobusem. Wtedy w Myślenicach był postój autobusów na rynku i tam czyhali milicjanci na kobiety z mięsem, ona kilka razy siedziała w areszcie, rekwirowali jej towar, ale mimo to nie poddawała się. Wysiadała przed Myślenicami, przechodziła piechotą kilka przystanków, wsiadała dalej.

A.S.: Z tych opowieści wynika, że to nie w Goszycach mama nauczyła się gotować.

K.S.K.: Goszyce były dla niej pewnym wyznacznikiem, ideałem tych różnych ciast świątecznych. Może także wzorowała się na tym, co robiła w dzieciństwie jej mama [Stefania Wolska – przyp. A.S.]. Wydaje mi się też, że taką osobą

⁴ Joachim Brzozowski – psycholog, młodszy syn Tadeusza Brzozowskiego.

trochę w charakterze starszej siostry była ciocia Anna Turowicz, zresztą również bardzo dobra gospodyni.

A.S.: Kiedy słucham tego wszystkiego i przypominam sobie wpisy z *Dziennika* o tym, że „Danusia napiekła ciast i mazurków” [D V, 173], zastanawiam się, czy mama nie była zmęczona, przeciążona tymi czynnościami, czy mówiła na przykład, że jest jej ciężko, czy bywały momenty, kiedy miała już po prostu dość? Przykłady z życia wielu kobiet pokazują, że pracują w domu ponad siły, co później odbija się echem w różnych sytuacjach.

A.K.: Była zmęczona i myślę, że przez szereg lat musiała być w depresji. Jak Kasia była mała, mama chodziła smutna, nerwowa, wcześniej taka nie była.

K.S.K.: Rzeczywiście tak było. Ja nie znałam jej we wcześniejszych latach, ale pamiętam, że chodziła do doktora Grochmala⁵, który zajmował się jej nerwowymi dolegliwościami, objawiającymi się tak, że mama zawsze narzekała na mrowienie. Nie bardzo wiem, na czym to miało polegać, ale to był jakiś taki nerwowy niepokój i myślę, że była zmęczona, a nawet nieraz narzekała, była w panice, że nie zdąży, że „Dzisiaj nie będzie obiadu”. Zawsze był, a na pytanie, czy w czymś Ci można pomóc, odpowiadała: „dobić patykami”.

A.S.: A myślą Panie, że ojciec tego od niej oczekiwał, czy sama weszła w taką rolę i narzuciła ją sobie wewnątrz?

A.K.: Ja myślę, że to była część religijności mamy. To w ogóle był taki wzorzec dobrej rodziny. Na przykład zawsze o kobietach, które pracowały zawodowo, mówiło się z pewnym politowaniem jako o takich wytworach PRL-u. Że przed wojną w porządnej rodzinie tak nie było. Ja to pamiętam z mojego dzieciństwa. Mama chyba miała poczucie, że ona musi być idealną żoną, matką i panią domu.

K.S.K.: Te zasady się z czasem też zmieniały. Wydaje mi się, że dla mamy to był również rodzaj spełnienia. Miało to także związek z pewnym wzorcem wywiezionym z ówczesnej epoki. Mama zajmowała się gospodarstwem domowym, tata pisał. Niemniej stanowili team doskonały. Mama przyjmowała wszelkich prowadzanych (tłumnie) przez tatę gości, gdyż jak wspominałam już wcześniej, dom był otwarty. Tata z kolei z wielkim oddaniem i przyjemnością wykonywał „męskie” prace w Kasince – rąbał drzewo, nosił wodę, pracował w ogrodzie, organizował rozmaite naprawy i remonty, a także – zarówno w Kasince, jak i w Krakowie – robił większe zakupy (w Kasince wiązało się to z dźwiganiami

⁵ Stanisław Józef Grochmal (1911–1995) – profesor medycyny, naukowiec, rektor Wyższej Szkoły Wychowania Fizycznego w Krakowie w latach 1965–1968.

ich w plecaku na górę, w Krakowie częściej dotyczyło to wina, prezentów na gwiazdkę i artykułów mniej powszednich – uwielbiał grejpfruty i cykorię!). Jedno natomiast jest pewne – bez mamy nie byłoby tego domu z jego atmosferą. Ojciec akceptował ten model, choć warto wspomnieć też o jego rodzicach – babci Marii Znatowicz-Szczepańskiej⁶ i dziadku Aleksandrze Szczepańskim⁷, którzy stanowili niezwykle nietypową parę, jak na tamte czasy, bardzo partnerską. Babcia była niesłychanie wyemancypowana jako kobieta. W jej pamiętniku znalazłam informację, że gdziekolwiek mieszkali, to mieli gabinet do pracy, w którym stały dwa biurka i w ogóle było ukierunkowanie na rozwój obopólny. To nie była babcia w roli służebnej – jeżeli dziadek na przykład jechał zaraz na początku ich małżeństwa do Monachium, to jego młoda żona, wbrew oburzeniu swojej teściowej, czyli Cudzoziemki⁸, pojechała z nim i jest nawet taki list babci do niej, w którym odpiera zarzuty teściowej. Jeden z argumentów brzmi tak, że ona nie widzi powodu, dla którego jako bliska sobie para nie mają razem jechać i tam korzystać z tych wszystkich dobrodziejstw kulturalno-intelektualnych jako czegoś, co buduje ich relację. Myślę, że mama nie miała takiego wzoru, jej wzorem były na pewno w znacznym stopniu Goszyce. Trzeba jednak powiedzieć, że tata może nie w pełni, ale widział trochę tę sytuację i mama miała w różnych okresach rozmaite pomoce domowe z lepszym lub gorszym skutkiem, co też było swego rodzaju wzorem przedwojennym. W moim dzieciństwie były jeszcze panie, które mieszkały z nami.

A.S.: Podobno ma Pani w planach publikację, w której pojawią się fragmenty dziennika Marii Znatowicz-Szczepańskiej?

K.S.K.: Złożyłam do wydawnictwa propozycję książki opowiadającej o losach wojennych ojca i jego bliskich, ale właściwie to jest też taka historia rodziny z tamtej strony. Czekam na jakąś decyzję. To jest zrobione z różnych wspomnień, zapisków, listów, konfrontuję w niej wydarzenia, które tam znajdują, z wydarzeniami opisywanymi w opowiadaniach.

A.K.: To jest na pewno dokument epoki, bo babcia prowadziła dziennik od wczesnej młodości – pierwsze zapisy to są lata studenckie albo wcześniej – właściwie do śmierci.

⁶ Maria Znatowicz-Szczepańska (1885–1960) – pisarka, nauczycielka języka francuskiego, tłumaczka z francuskiego i chorwackiego.

⁷ Aleksander Szczepański (1882–1937) – dyplomata II Rzeczypospolitej (pełnił m.in. funkcję konsula generalnego RP w Zagrzebiu i Chicago) i ekonomista.

⁸ Pierwowzorem głównej bohaterki *Cudzoziemki*, Róży Rabczyńskiej, była matka Marii Kuncewiczowej (z domu Szczepańskiej) i Aleksandra Szczepańskiego, Adelina z Dziubińskich.

A.S.: A mama próbowała pisać coś swojego? Wiem, że pisała dziennik w czasie wojny. A czy później powstawały jakieś opowiadania albo wiersze?

A.K.: Nie, nie.

K.S.K.: Owszem.

A.K.: Pisała coś?

K.S.K.: Mama pisała przede wszystkim listy, mnóstwo pięknych listów. W okresie młodości zdarzyło jej się napisać kilka wierszy, może kilka to jest nawet za dużo powiedziane, ale zdarzyło jej się. Widziałam jeden jej wiersz i myślę, że miała w sobie bardzo dużą wrażliwość artystyczno-poetycką. Do 3 maja 1942 roku pisze także wspomniany już dziennik. W *Szufladzie* zamieściłam fragmenty wpisów z 1940 roku. Pani traktuje *Dziennik* ojca jako pracę w samodoskonaleniu się etycznym. Mnie się wydaje, że mama, pisząc ten swój pamiętnik w czasie wojny, ma podobny cel, że ona po prostu jak gdyby pracuje nad sobą, to jest takie zwierciadło, w którym się przegląda i gdzie dyskutuje różne swoje wybory, konfrontuje się z otoczeniem, szuka bardzo często odpowiedzi na nurtujące ją pytania. Myślę, że dla mamy bardzo ważna w czasach jej wczesnej młodości była akceptacja, że bardzo jej poszukiwała. Była otwarta na przyjaźnie, ale też nie bezkrytyczna, bardzo wrażliwa, myśląca, usiłująca odnaleźć jakieś swoje miejsce i swoją drogę.

A.S.: A myśli Pani o publikacji całości?

K.S.K.: Na razie jeszcze na to nie czas, myślę, że to zbyt prywatne. Może jak będę już starszą oddającą wszystko do archiwów, to wtedy. Póki co działam w sposób wybiórczy, ale kiedyś te rękopisy na pewno powinny znaleźć się w profesjonalnych archiwach. Mam poczucie pewnej odpowiedzialności, żeby tego nie zmarnować, a z drugiej strony to mnie przerasta jako projekt uporządkowania wszystkich pozostawionych zapisków. W odpowiednim czasie na pewno się do tego zabiorę bardziej intensywnie.

A.S.: Danuta Szczepańska pełniła chyba ważną rolę także w pisarstwie Jana Józefa Szczepańskiego, co można zaobserwować choćby w takich komentarzach jak: „Przedwczoraj skończyłem przedostatni rozdział opowiadania o Ciotce. Danusia wyłapała w nim szereg powierzchownych stylizacji, które usunąłem” [D III, 738]⁹. Wygląda więc na to, że ojciec liczył się ze zdaniem mamy, a nawet go potrzebował.

⁹ Mowa o opowiadaniu *Trzy czerwone róże* umieszczonym w tomie *Rafa* z 1974 roku.

A.K.: Tak, tata dyktował mamie swoje teksty, a ona przepisywała je na maszynie, więc można uznać ją za pierwszą słuchaczkę jego twórczości.

K.S.K.: Bardzo się liczył. Mama miała w ogóle dużą kulturę artystyczną i świetny słuch literacki. Lubiła czytać poezję, a znam niewiele takich osób. Myślę, że ta jej kultura artystyczna wzięła początek z Goszyc, szczególnie z czasów wojny, kiedy odbywało się tam wspólne czytanie. Wpływ na to miało zapewne również jej doświadczenie nauki w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Krakowie, w której nauczycielami byli często wykładowcy z Akademii Sztuk Pięknych.

A.K.: Mama chciała nawet studiować historię sztuki, co niestety nie doszło do skutku. Zamiast tego dostała się na historię, ale właściwie nawet tych studiów nie zaczęła. Natomiast przez całe życie miała żywe zainteresowania artystyczne. Kolekcjonowała na przykład mnóstwo pocztówek z różnymi dziełami sztuki, które zaczęła zbierać jeszcze w czasie wojny.

K.S.K.: Chyba zaczęła studiować, ale już po ślubie i nie kontynuowała z powodu dziecka. Wtedy natomiast rzeczywiście można było dostać bardzo dobre wydania niemieckie z reprodukcjami i wiem, że polowała między innymi na te z dziełami Pietera Bruegla czy Albrechta Dürera.

A.S.: Czy w takim razie pani Danuta Szczepańska w jakimś stopniu zrezygnowała ze swoich aspiracji, czy jakoś udawało jej się to wszystko łączyć? Myślę na przykład o tym, że faktycznie zaniechała studiów, więc nie poszła dalej ścieżką artystyczną tudzież naukową.

K.S.K.: Ona nie miała ambicji robienia kariery czy innych ambicji naukowych, ale mimo to udało jej się pozostać w tym nurcie. Według mnie ojciec cenił ją jako partnerkę, a mama odnajdywała się choćby w jego kontaktach ze środowiskiem, w którym funkcjonował.

A.K.: Jeśli chodzi o mamy działania intelektualne, to warto wspomnieć o ciekawej pracy zarobkowej, którą podjęła w ciężkich czasach. Była ona dla niej samej odkrywczą. Chodzi o program dotyczący rozwoju mowy dziecka prowadzony przez naszego dalekiego wuja, profesora psychologii Stefana Szumana¹⁰. Zadanie polegało na prowadzeniu dziennika mowy. Dzieckiem doświadczalnym był nasz brat Michał, a potem Kasia. Wymóg tych notatek był taki, że mama musiała dostarczyć co miesiąc dwadzieścia stron maszynopisu mowy dziecka. A przecież nie było wtedy żadnych urządzeń do nagrywania, więc trzeba było biegać za dzieckiem z kartką, notatnikiem i ołówkiem – to miało trwać

¹⁰ Stefan Szuman (1889–1972) – profesor związany z UJ, pedagog, psycholog i lekarz.

od momentu, kiedy dziecko wypowie pierwsze zdanie, do pójścia do szkoły. Mama robiła to przez szereg lat, najpierw z jednym dzieckiem, później z drugim, i to był czasami stres, bo ona musiała mieć te dwadzieścia stron i nie zawsze jej się to udawało. Dzieci mówiły bez końca, ale trzeba było to zapisywać ręcznie, a potem przepisać na maszynie. Kiedy brakowało tych stron, a miesiąc się kończył, to mama się martwiła, mobilizowała, żeby szybko zapisać kolejne kartki, a jak już się nic nie udawało, to dokładała rysunki dzieci.

K.S.K.: Ta wrażliwość artystyczna mamy przejawiała się na różne sposoby. Pamiętam na przykład, że czytała mi Miłosza, kiedy byłam mała. Śpiewała nawet *Piosenkę o końcu świata*, w ogóle dużo poezji śpiewała.

A.K.: Też to pamiętam!

A.S.: I sama układała melodię?

A.K.: Nie, to ktoś w Goszycach ułożył.

K.S.K.: W Goszycach w czasie wojny przebywało dużo młodzieży, która musiała jakoś spędzać czas i miała też obowiązek, żeby się kształcić, więc tam oprócz tego, że odbywały się dzięki Jerzemu Turowiczowi czytania literatury, organizowano też rozmaite wieczory, na przykład z Norwidem, wieczory patriotyczne, jak również przedstawienia teatralne. Poza tym przeprowadzano liczne wykłady – mama przywołuje w swoich zapiskach na przykład wspomnianego przed chwilą prof. Stefana Szumana, który zajmował się psychologią, wykłady o lirycie Kazimierza Wyki, relacje z wypraw na Grenlandię Siasia [Stanisława – przyp. A.S.] Siedleckiego¹¹, który był polarnikiem. Tak że tam naprawdę się dużo działo, odbywało się wiele ciekawych rozmów i to na pewno mocno wpływało na mamę, która wtedy powiedzmy miała te 16–17 lat i była niezwykle ambitna.

A.K.: Poza tym odbywały się tam także wieczory muzyczne i muzykologiczne. Między innymi pan Adam Rieger¹², nasz wieloletni sąsiad z ul. Helclów, w czasie wojny jeździł do Goszyc na takie spotkania.

A.S.: Panie chyba jednak nie do końca poszłyście w ślady mamy, zwłaszcza jeśli mówić o realizacji w pracy zawodowej. Był to sprzeciw wobec takiego sposobu życia, czy naturalny bieg rzeczy związany ze zmianą kulturowych wzorców?

¹¹ Stanisław Siedlecki (1912–2002) – geolog, taternik, polarnik. Kierownik licznych wypraw, m.in. na Spitsbergen.

¹² Adam Rieger (1909–1998) – pianista i pedagog.

A.K.: Dla mnie tryb życia mamy był dość przerażający, choć ogólnie uważam, że nasz dom był atrakcyjny dla dzieci. Chociaż było to środowisko, w którym role żeńskie były znacznie mniej atrakcyjne niż męskie. Ja na przykład chciałam być chłopcem i nawet mi się wydawało, że będę tym chłopcem, kiedy dorosnę, gdyż miałam plany na rozmaite działania twórcze, naukowe i inne, które na podstawie obserwacji otoczenia wydawały mi się zajęciami męskimi. Potem się okazało, że na szczęście nie tylko, ale taki był niewerbalny przekaz w tym środowisku. Dobrze obrazuje to pewien wywiad ze środowiskiem „Tygodnika Powszechnego”, który opublikował w drugim obiegu chyba Jacek Żakowski. Tam jest obszerny fragment dotyczący roku 1953, sprawy zamknięcia „Tygodnika” i tego, co się wtedy działo. Jest tam mowa o tym, że członkowie redakcji byli w to niesłychanie zaangażowani, ciągle gdzieś jeździli, między innymi do prymasa Wyszyńskiego, do różnych partyjnych kacyków, załatwiali coś na wielu szczeblach, dyskutowali, próbowali jakoś uratować ten „Tygodnik”. Żakowski pyta Woźniakowskiego: „Czy wasze żony też brały w tym udział?”, a on mówi: „No tak, one nas wspierały modlitwami”. Więc mi się zdaje, że to jest kwintesencja rozumienia ról męskich i damskich w tym środowisku.

K.S.K.: Ja też nie do końca chciałam iść w jej ślady. Jednak jeżeli człowiek wyrasta w jakiejś rodzinie i jak w moim wypadku jest z tą rodziną bardzo związany, to pewne rzeczy przejmuje. Natomiast czasy się też zmieniły i wiadomo było, że jest inaczej. Większość młodych dziewczyn, które miały na to warunki, szła na studia i później chciała się jakoś realizować.

A.K.: Jeśli chodzi o mamę, to myślę, że bardzo ważna w kontekście naszej rozmowy jest kwestia jej niesłuchanej religijności. Dzisiaj, jak patrzę wstecz, ta religijność wydaje mi się właściwie trochę przerażająca, szczególnie związana z nią presja otoczenia.

A.S.: Szczepański jednak za każdym razem opisuje religijność swojej żony z ogromnym podziwem.

K.S.K.: Tak, bo to było niesłychanie autentyczne. To nie była obrzędowa dewocja, tylko mama rzeczywiście tym żyła. Miała na przykład pewnych biedaków, którym pomagała. Różne osoby, które zupełnie nie były z kręgu przyjaciół rodziców, ale jednak zaprzyjaźnione, głównie z mamą, między innymi tak zwany Pan Herbatka.

A.K.: Herbatka to był taki człowiek, który żył z noszenia węgla. Jak przywieźli węgiel, to on miał taką nosilkę drewnianą na szelkach i znosił węgiel do piwnicy. I wziął się w ogóle z tego, że raz podczas tej czynności było strasznie zimno, mama mu wyniosła herbatę i od tej pory przychodził codziennie przez lata. Był też trochę głuchy.

K.S.K.: Zgadza się. Raz nawet tata go uratował, bo kiedy kręcił się koło domu, to milicja albo jakaś służba miejska złapała go jako bezdomnego. I chcieli go odstawić gdzieś do jakiegoś przytułku. Herbatka był takim rajskim ptakiem, wprawdzie żył w jakichś okropnych warunkach, jak kloszard, ale cenił sobie wolność. Wtedy kiedy go złapali, już go wsadzali do jakiegoś auta, ale tata akurat go zobaczył i powiedział, że to jest człowiek, który zarabia i przyszedł znieść węgiel, więc go wypuścili. Oprócz niego przychodził tak zwany Pan Biedulek, drugi taki klient, i przychodziła też Syfilityczka, pewna nieszczęsna kobieta, rzeczywiście chora, alkoholiczka, która przychodziła nie po jedzenie, ale po parę groszy. Miała natomiast taką miłą cechę, że lubiła mamę i przynosiła jej czasami kwiaty. Oni opowiadali zawsze całe swoje życie. Mama z kolei wszystkim tym żebrakom mającym nogi w ranach i w strupach opatrywała te rany, a nawet raz na jakiś czas ich zapraszała, żeby się wykąpali. I to był taki dość duży gest, zważywszy na to, że oni byli naprawdę brudni, śmierdzący.

A.S.: Czy to było uciążliwe?

K.S.K.: Nie, to była absolutnie część naszej codzienności. Ja wiedziałam, czy Herbatka jest, czy nie, bo jak mieszkaliśmy na górze, to kiedy wracałam pod wieczór ze szkoły, już na dole czułam ten zapach bezdomnego.

A.K.: Religijność mamy rzeczywiście była autentyczna i osobista. Niemniej ja miałam takie poczucie, może dlatego, że jak byłam mała, to mama była bardzo zaangażowana religijnie, że oczekiwała tego samego po mnie. Miała nadzieję, że mnie sobie wychowa na towarzystwo w tej religijności. A ja im dłużej żyję, tym bardziej wiem, że to nie dla mnie.

A.S.: Pani też ma takie wrażenie?

K.S.K.: Ja w pewnym sensie też uważam, że pewne aspekty religijności mamy odbiły się na mnie negatywnie. Ogólnie rzecz biorąc, katolickie wychowanie kładzie bardzo duży nacisk na wewnętrzne poczucie winy. Myślę nawet, że spoglądając na moje doświadczenia w okresie dorastania, to w dzisiejszych czasach ktoś by mnie pewnie skierował do jakiejś poradni leczenia nerwic. Dużo czasu zajęło mi później, żeby się z tego wyzwolić.

A.K.: Ja na przykład dowiedziałam się bardzo wcześnie, jeszcze w wieku przedszkolnym, że piekło jest wieczne i że jak człowiek umrze z grzechem, to tam po prostu ląduje z automatu. Pamiętam, że budziłam się w nocy i sobie wyobrażałam piekło wieczne, bałam się końca świata, sądu ostatecznego, no takich rzeczy w bardzo wczesnym dzieciństwie. To się potem wlecze za człowiekiem.

K.S.K.: To się wlecze. W okresie dorastania, kiedy jest burza hormonów i zaczynają się też problemy charakterystyczne dla wieku dojrzewania, związane również z seksualnością, to pojęcie grzechu czyni wtedy kompletne спустoszenie psychiczne, więc choćby w tym aspekcie to było niszczące.

A.S.: Czyli Panie jakoś odeszłyście od instytucjonalnej religijności?

A.K.: Nie, ja w ogóle odeszłam. Bardzo próbowałam, ale po prostu jestem osobą sceptycznej natury i nie mogę.

K.S.K.: Ja jestem chrześcijanką, natomiast w czasach, w których żyjemy, instytucja się dla mnie skompromitowała.

A.S.: Przychodzi mi w tym miejscu na myśl numer miesięcznika „Znak” pod tytułem *Wierzę, wątpię, odchodzę*, szczególnie zaś wywiad z Magdaleną Smoczyńską, w którym wyraża ona podobne wątpliwości i po kilkudziesięciu latach obecności w Kościele wyznaje: „(...) wierzę Jezusowi, ale tym, którzy podają się za Jego ziemskich pośredników, już nie – z tymi panami nie chcę mieć nic wspólnego”¹³. Obecnie takich świadectw jest o wiele więcej, sporo osób dystansuje się od instytucji Kościoła, wyrażając swój sprzeciw wobec jego licznych niechlubnych działań. Pytanie tylko, czy poprowadzi to w kierunku realnej zmiany.

K.S.K.: Musi się to zmienić. Dla mnie rzeczą niesłychanie poruszającą są historie osób, dla których ta religijność była pewną kotwicą przetrwania, na przykład w czasie wojny, myślę choćby o cioci Dziodzi [Beacie Obertyńskiej – przyp. A.S.]¹⁴. Przeczytałam ostatnio książkę o całej jej tułaczce w łagrach sowieckich, gdzie religijność dla niej była taką deską ratunku¹⁵. I wydaje mi się, że dla mamy też tak było w czasie wojny, w różnych jej osobistych przeżyciach.

A.S.: A jak te kwestie wyglądały między rodzicami? Czy mama próbowała jakoś wpływać na ojca, czy szanowała jego decyzję i nie ingerowała w nią?

A.K.: To był taki cichy wpływ. Wydaje mi się, że ona postawiła sobie za zadanie życiowe, by go nawrócić, ale robiła to bardzo dyskretnie i delikatnie.

¹³ *Siedzę na kupie gruzów*. Magdalena Smoczyńska w rozmowie z Mateuszem Burzykiem, „Znak” 2019, nr 12, s. 23.

¹⁴ Beata Obertyńska (1898–1980) – z domu Wolska, ps. Dziodia, poetka i pisarka, autorka m.in. wspomnień z tułaczki po Związku Radzieckim w latach 1940–1942 pt. *W domu niewoli*, Rzym 1946 (opublikowanych pod pseudonimem Marta Rudzka).

¹⁵ B. Obertyńska, *W domu niewoli*, Rzym 1946.

Uważam za rzecz bardzo pozytywną, że ojciec nie dał się namówić przed śmiercią na spowiedź.

A.S.: Zawsze podziwiam ten fragment *Dziennika*, w którym ojciec pisze: „Jaki prawdziwy sens tego wszystkiego? Najłatwiej byłoby podporządkować te doświadczenia religijnej wykładni, ale tego nie potrafię zrobić w sposób uczciwy” [D VI, 520].

A.K.: Myślę, że to była właśnie ta jego uczciwość do samego końca.

K.S.K.: Między rodzicami istniała wspólna płaszczyzna w uczciwości i wierności zasadom, którą w sobie niesłuchanie szanowali. Mama doskonale wiedziała, że ojciec w swoim postępowaniu był człowiekiem absolutnie kierującym się zasadami chrześcijańskimi, w takiej czystej postaci, bez tej całej nadbudowy. Bo w tym, co tata pisał, istnieje obecność Trybunału i Wielkiego Armatora. Poza tym ojciec chodził do kościoła na Wielkanoc i na Boże Narodzenie i tu nie było żadnych awantur czy oporu, po prostu szli tak bardzo na poważnie razem. Tak samo uważam, że święta Bożego Narodzenia miały niezwykle uroczysty charakter, tradycyjny, tata zawsze śpiewał *Bóg się rodzi*, zapalał sztuczne ognie i dzwonił dzwonkiem w charakterze aniołka.

A.K.: Tak, ale sądzę, że dla mamy w ogóle religijność była taką sferą prywatną, która jej kompensowała brak własnego życia zawodowego czy twórczego.

K.S.K.: Rodzice dawali nam wzór etyczny i wiedzieliśmy, czego się po nas spodziewają. Czasem niełatwo było temu sprostać, ale nie pamiętam kazań ani wyrzutów. Bo z jednej strony był ten nurt, o którym rozmawiamy, a z drugiej strony ja mam wspomnienie ogromnej wolności w dzieciństwie i też takiego zaufania do świata, które szło od rodziców, które pomagało w nabywaniu pewności siebie oraz w wyrobieniu sobie własnego stosunku do otaczającej rzeczywistości. Rodzice na przykład nie bali się o nas. I ja wspominam moje rozmaite eskapady, które umożliwiła pewnie też zmiana czasów, gdyż już jako nastolatka miałam doświadczenia różnych samodzielnych podróży.

A.K.: Ja tak nie miałam. Ja miałam z tym zawsze problemy.

K.S.K.: Ty miałaś z tym wcześniej problemy, ale czasy się też zmieniły i zmieniła się sytuacja materialna w domu. Pamiętam, że pojechałam do Anglii w wieku niecałych siedemnastu lat i to była dla mnie cudowna podróż, w której chyba najbardziej atrakcyjnym elementem było to, że jechałam tam sama i że musiałam sobie poradzić.

A.S.: Pani jednak też jakoś koło dwudziestego roku życia pojechała do Iranu?

A.K.: No nie, pojechałam już po studiach. Przez całe moje studia stypendiów ani możliwości wyjazdu do Iranu nie było, więc pojechałam dopiero, pisząc doktorat i pracując. Miałam już duże dziecko, Jasiek [Jan Krasnowolski – przyp. A.S.] był pięciolatkiem. Dwa lata wcześniej byłam w Afganistanie.

A.S.: Można więc chyba powiedzieć, że podróże były rodzinną tradycją. Nurtuje mnie natomiast jeszcze jedna kwestia. Wyprawy Pań ojca, choć niewątpliwie stanowiły część jego pracy (podczas ich trwania zbierał materiały do późniejszych książek, między innymi reportaży), były także pewną rozrywką (bujne życie towarzyskie etc.). Zwraca więc uwagę nieprzystawalność damskich i męskich rzeczywistości. Zastanawia mnie, jak pani Danuta to wszystko znosiła, jak sobie radziła podczas wielomiesięcznych nieobecności męża na wszystkich polach.

A.K.: Pamiętam pierwszy wyjazd ojca do Francji w 1957 roku, jak się Kasia miała rodzić, a babcia [Maria Znatowicz-Szczepańska – przyp. A.S.] pojechała wtedy do Afryki¹⁶, więc mama została sama w ciąży. Pamiętam mamę z wielkim brzuchem i taką zmordowaną – nie było babci, która zawsze bardzo dużo rzeczy robiła, i nie było taty. Mama później kilka razy jeździła z ojcem za granicę, ale nigdy sama. Bo ona była taka, że bała się świata, bała się urzędów, starała się nie chodzić, nie załatwiać, to było dla niej zawsze coś bardzo trudnego. Była trochę dzika.

A.S.: Znamienny jest wpis w *Dzienniku*, kiedy Pań mama odwiedza ojca w Stanach podczas jego pobytu na stypendium Harvard International Seminar: „Przyszli potem Gordonowie i Willowie. Danuta nie wytrzymuje tej obcości. Stara się nie stwarzać oporu, ale ja już jestem trochę na zewnątrz kręgu ludzi, z którymi od miesięcy byłem tak blisko. Nie jest to cena nazbyt wysoka, ale jeszcze jedna wskazówka kończącej się przygody” [D III, 494].

K.S.K.: Tata miał ogromną łatwość wtapienia się w towarzystwo. Można mówić w jego przypadku o niezwykle szerokim spektrum kontaktów. Na przykład podczas wojny – w partyzantce był z ludźmi zupełnie nie ze swojego środowiska i dobrze się tam też odnajdywał, był lubiany, bo umiał być lubiany, więc dla mamy to było czasami trudne. Poza tym w tych Stanach był długi czas, więc się pozaprzyjaźniał, wszedł w ten styl, który był tam, a mama nagle przyjechała.

A.K.: Tak, to był jeszcze ten styl hipisowski.

K.S.K.: To był taki styl hipisowsko-młodzieżowy. Tata przyjechał do Polski, naprzywoził na przykład różnych płyt i nagle chciał tańczyć. Puszczał te płyty

¹⁶ Matka Jana Józefa Szczepańskiego pojechała wówczas do swojej córki Jadwigi Miszewskiej, która wyemigrowała po wojnie do Afryki Południowej.

w Kasince, nam się to bardzo podobało, ale to było coś zupełnie nie dla mamy. Podróże były na pewno wpisane w tę relację i mama musiała to akceptować, choć bez wątpienia nie było jej łatwo. Czasami rodzice jeździli też razem. Ich relacja była jednak w moim przekonaniu bardzo udana. Mieli wspólnych przyjaciół, choć mieli też osobnych. Chodzili razem na różne wizyty, do kina, na wystawy itp. W Kasince, nawet w momentach największego ruchu, znajdowali momenty na bycie razem – grę w ping-ponga, garibaldkę (karty) wieczorem albo niedługi spacer. I co bardzo pamiętne – ojciec zawsze o wszystkim jej/nam opowiadał (najciekawsze dla mnie były czasy jego prezesowania, czas transformacji, niezwykłych wówczas spotkań i inicjatyw), zazwyczaj przy kolacji, często po powrocie z Warszawy czy jakiegoś ważnego spotkania. Nie pamiętam humorów, wzajemnych pretensji, jakichkolwiek kwasów między rodzicami.

A.S.: A czy na Helclów działo się więcej niż w Kasince? Mam tu na myśli odwiedziny różnych ludzi, spotkania towarzyskie, domowe aktywności.

A.K.: Inaczej było.

K.S.K.: W Kasince był młyn w czasie lata, ale to był inny młyn, taki wakacyjny. Kiedyś znalazłam kartkę napisaną przez mamę, na której ona zanotowała, kto był, kto przyjechał, kto wyjechał. I zdziwiłam się długością tego spisu.

A.S.: A myślicie Panie, że mama gdzieś czuła się lepiej?

A.K.: Nie, mama lubiła być po prostu sama, na przykład w Kasince. Bardzo często, jak byliśmy już dorośli, rodzice zostawali w Kasince aż do zimy, do mrozów. Wyjeżdżali 1 maja i siedzieli do śniegu.

A.S.: A odwiedzacie Panie Goszyce?

A.K., K.S.K.: Odwiedzamy czasem.

A.S.: Zdaje się, że mama postanowiła, że więcej do Goszyc nie pojedzie?

A.K.: Tak, to dla niej było miejsce utracone.

K.S.K.: Pod tym względem była uparta. Trochę jak jej babka, która więcej nie pojechała na Storożkę.

A.S.: Jak Herbert do Lwowa.

A.K.: Mama powiedziała, że raz po wojnie pojechała, jak ten dom już był odebrany. Siadła wtedy na schodkach, płakała i powiedziała, że nigdy więcej.

A.S.: Ale jednak jeszcze pojechała.

A.K.: No tak, ale to już było w optymistycznym scenariuszu, którego na szczęście dożyła.

Kraków, 11 lutego 2022 roku